

Życie po życiu

Pięć lat temu w ich mieszkaniu zapalił się garnek z parafiną. Krzysztof Ziemięć ratując rodzinę z pożaru, dotkliwie poparzył ponad 40 procent powierzchni ciała. Stał się bohaterem. Ponad rok później, po bolesnej rehabilitacji wrócił do pracy w telewizji. „Może ten wypadek był po coś?”, zastanawia się. Dziś, po premierze swojej najnowszej książki „Niepokonani”, przyznaje, że tamte traumatyczne przeżycia na zawsze odmieniły jego życie.

Pamięta Pan jeszcze tamten czerwcowy dzień 2008 roku?

Jasne że pamiętam bo tego nie da się wymazać z pamięci. Zdarza się, że myślę o tym wtedy kiedy coś mi doskwiera fizycznie. Zdaję sobie sprawę, że już nigdy nie będę w pełni sprawny. I wiem, że po takim przejściu jest to normalne. To cena, którą zapłaciłem za życie. Bogu dzięki, że tylko tyle.

Dzieci uporały się już z traumą?

Jest coś, co tkwi jeszcze trochę w najmłodszym Franku. Kiedy wybuchł pożar miał trzy latka, a wie pan, najlepiej ma pierwsze i ostatnie dziecko w rodzinie. Więc on był takim naszym „oczkiem w głowie”. I nagle na pół roku, albo nawet i dłużej, żona musiała bardziej zajmować się mną, a nie nim. Momentami była wręcz tylko dla mnie bo ja bez jej pomocy we wszystkim sam nie dałbym rady. Franek poczuł się odrzucony. Oczywiście niesłusznie, ale takie ma wyobrażenie. Od tamtego czasu, traktuje mnie trochę jak swojego konkurenta. Nawet teraz, po pięciu latach, wciąż woli być z mamą. Do tego stopnia, że jak jedziemy razem samochodem pyta mamę, a nie mnie o koparki, czy ciężarówki, które mijamy. Żona mówi, spytaj ojca, przecież ojciec się zna na tym lepiej.

A córki?

Ola i Mania nie wracają już do wypadku. Czasami, na przykład na wakacjach, kiedy się rozbiore i widzą moje nieco tak powiem nieestetyczne ciało pokryte bliznami, wtedy coś się im przypomina. Pytają czy mnie to boli, próbują sobie poskładać jak to wszystko wyglądało. Ale już bez emocji. Franek natomiast, mimo, że był wtedy taki mały, bardzo dużo pamięta. Opowiada a nawet czasem jeszcze analizuje jak siedział w karetce w drodze do szpitala. Pyta mnie czy ja też siedziałem, czy leżałem? Mówię, Franiu ja nie pamiętam, byłem w szoku. Odpowiada, „ano tak, ciebie przecież z nami nie było. Zabrała cię inna karetka”.

Co się zmieniło w Panu po wypadku?

Na pewno jestem z jednej strony mocniejszy a z drugiej bardziej wrażliwy. W przypadku mężczyzn nie jest to jednak takie fajne, ponieważ w dzisiejszych czasach panuje raczej kult „silnego faceta”. A mnie, może nawet za często, zdarza się po ludzku wzruszyć. Teraz bardziej doceniam wszystko to, co mi umykało wcześniej - rodzinę, pracę, znajomych i każdy dzień, w którym mogę zrobić coś dobrego dla innych. Myśląc o tym często wspominam moją nieżyjącą już wiele lat ciocię. W czasie okupacji uczyła na tajnych kompletach. Za to groziła kara śmierci, a ona to robiła przez całą wojnę. Umarła w 1980 roku i na pogrzebie, były dwa, albo trzy autokary

jej byłych uczniów. Jakim ona musiała być dobrym człowiekiem, skoro tyle lat po wojnie, oni przyjechali ją pożegnać. To jest dla mnie wzór i dowód na to, że warto w życiu poświęcać się dla innych.

I nie można z tym zwlekać. Pana mama powtarzała, że „co masz zrobić jutro, zrób dziś”. Pamiętam o tych słowach, ale przy trójce dzieci i przy tak nieregularnym zawodzie, jakim jest dziennikarstwo, jest to straszliwie trudne. Mnie już głowy i kartki nie wystarcza, żeby spisać wszystkie rzeczy, które muszę zrobić. Do tego celu wykorzystuje nawet przypomnienia z alarmem w telefonie.

W wywiadzie, którego udzielił pan z żoną kilka miesięcy po tych dramatycznych przeżyciach, wspominaliście o pewnych zobowiązaniach. O tym, że będzie pan więcej czasu poświęcał rodzinie, częściej mówił żonie, że ją kocha...

Często jest tak... Może jednak nie tak często, ale czasami zdarza się, że moja żona sprowadza mnie na ziemię. „Pamiętasz, co mówiłeś?”, pyta. A mnie jest wtedy głupio.

Co ma na myśli?

Chodzi o wiele rzeczy. Nie tylko o okazywanie czułości, ale też np. o wygospodarowanie czasu dla dzieci. Nie tyle na odrabianie lekcji, ale po to, by pójść z nimi na rower, pograć w piłkę, poczytać im coś.

I jak z tym czasem?

Pamiętam ten moment, to było jakieś pół roku po wypadku. Zbliżały się święta i ludzie walili do hipermarketów po karpie za „przysłowiowe” 9,99. Korki, tłok, zabieranie sobie wózków. Po co oni tam tak biegli? Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Popychali się tymi wózkami, najeżdżali na siebie, stali w kolejce, żeby tylko kupić tego karpia za 9,99. Pomyślałem sobie - Boże, jaki jestem mądry, że nie uczestniczę w tym głupim pędzie. Oczywiście łatwo to mówić, kiedy człowiek jest na aucie, tak jak ja wtedy byłem. Teraz, gdy wróciłem do życia na pełnych obrotach, znowu pojawiło się niebezpieczeństwo, że nie będę w stanie zrezygnować z tego symbolicznego karpia za 9,99. Ze mimowolnie wchodzę w ten szybki nurt który zmusza nas do ciągłej gonitwy...tylko za czym?

W ten pęd wpadł Pan znowu na własne życzenie. Kiedy zaczął Pan myśleć o powrocie do telewizji?

Nieśmiało myślałem o tym parę miesięcy po wypadku. Ale bardziej zastanawiałem się czy ja w ogóle będę w stanie wrócić do sprawności fizycznej. I jeżeli to się uda, to czy ktoś będzie mnie chciał w pracy. I w jakiej roli...

W Wigilię 2009 roku, 18 miesięcy po wypadku, poprowadził Pan główne wydanie „Wiadomości”. Tak to było nie tylko dla mnie takie symboliczne narodzenie na nowo. Wiedziałem, że będzie duża oglądalność i nie chciałem, żeby ludzie myśleli, że przyjęto mnie znów do TVP tylko z litości. Bo kiedyś już tam pracowałem, miałem wypadek, a teraz trzeba mi pomóc. Staralem się udowodnić, że jestem właściwą osobą, na właściwym miejscu. I dlatego byłem bardzo stremowany. Podobno nie było tego widać na ekranie ale w środku byłem zdenerwowany. Potem miałem dużo smsów z podziękowaniami, więc chyba się udało.

Wtedy też dla wielu osób stał się Pan wzorem do naśladowania.

Jeśli tak jest to jest to dla mnie najwyższy komplement. Może ludzie zobaczyli że jak jemu się udało, to i mnie się uda. To ich jakoś dobrze podbudowało. A teraz, kiedy wydałem kolejną książkę może też jakoś mnie doceniają, bo dają im pocieszenie, czy ciepłe słowo? Mam nadzieję, że ta sympatia nie wynika tylko z tego, że uratowałem dzieci z płonącego mieszkania. To przecież zrobiłby każdy na moim miejscu.

Może dopiero po pożarze ludzie zobaczyli w Panu „człowieka z krwi i kości”.

Jeśli tak to zbyt późno ☺. Ja taki byłem zawsze. To trochę niesprawiedliwe, że dopiero moje przeżycia sprawiły, że ktoś we mnie uwierzył. Że także jakoś moi szefowie dostrzegli, że dam radę zadać mądre pytania w „Niepokonanych”, bo sam doświadczyłem bólu. To trudna sytuacja. Z jednej strony to bardzo miłe, że ludzie traktują mnie jak człowieka godnego zaufania, ponieważ nie poddałem się po wypadku. Z drugiej jednak, nie chciałbym, by moja praca zawodowa była postrzegana tylko przez ten pryzmat.

Ale „Niepokonanych” poprowadził Pan, bo producenci programu stwierdzili, że Pan, jako osoba doświadczona lepiej poradzi sobie w tych trudnych rozmowach. Rzeczywiście było Panu łatwiej? *Myszę, że tak. Część z nich mówiła nawet, że spotkają się ze mną, bo ja wiem, o czym rozmawiać, o co pytać. Dzięki temu potrafili się bardziej otworzyć, szczerze odpowiadać na najtrudniejsze pytania. Czuli bratnią duszę. Chociaż zdają sobie sprawę, że w porównaniu z ich doświadczeniami, mnie tak naprawdę nie spotkało nic dramatycznego.*

Czego się Pan najbardziej obawiał podczas spotkań z tymi osobami?

Balem się, że pytania, które im zadam, będą z jednej strony może banalne a z drugiej może zbyt bolesne, zbyt intymne. Że ich w jakiś sposób urażę. Bohaterami „Niepokonanych”, czy późniejszego cyklu „Prawdę mówiąc” który też stał się bazą do napisania książki to osoby, które przeżyły naprawdę wielkie tragedie. Np. Monika Kuszyńska, po wypadku samochodowym jest wciąż przykuta do wózka inwalidzkiego. Ale ani razu nie widziałem grymasu na jej twarzy. Ewa Błaszczyk, zdaje sobie pan sprawę jak wielką tragedię ona przeżywa? Całkowicie oddała się córce, która jest w śpiączce. Ale Mimo tego, co ją spotkało, wciąż znajduje i czas i siłę by działać dla innych. Odbyliśmy długą rozmowę w jej domu, siedzibie fundacji „A kogo?”. Tomasz Osuch, czy Kazimierz Szalata, oni stracili swoje dzieci, ale wciąż umieją się uśmiechać, kiedy je wspominają. Eleni wybaczyła nawet mordercy swojej córki. Podczas nagrania programu o Kamili Skolimowskiej, nikt nie mógł ukryć wzruszenia. Proszę sobie wyobrazić - jej ojciec, wielki mężczyzna, który siedzi metr ode mnie, nagle zaczyna płakać, mówiąc o ukochanej córce. Musieliśmy wtedy przerwać nagranie, bo nawet członkowie ekipy ocierali łzy. Pamiętam też spotkanie z Jerzym Stuhrem. Widzieliśmy się mniej więcej rok temu. Spodziewałem się, że zobaczę człowieka, który stoi niemal na progu śmierci, ale Pan Jerzy mimo tego, że był strasznie wychudzony, miał olbrzymi wigor, apetyt na życie. Myszę, że właśnie dzięki temu przezwycięzył chorobę.

Jak to zrobić? Jak w trudnych chwilach, znaleźć w sobie chęci do życia?

A no właśnie. To jest najważniejsze pytanie jakie im wszystkim zadaję. Nie ma jednej recepty. Każdy ma inny sposób ale najważniejsze że trzeba pogodzić się z myślą, że życie po traumie nie będzie już takie same. Nie znaczy to jednak, że będzie gorsze. Po prostu będzie inne.

Ale najpierw trzeba przeżyć wielki ból. Żałobę po stracie kogoś bliskiego, leczenie, czy zmusną rehabilitację tak jak Pan.

Chodziłem do zwykłej przychodni na Kole w Warszawie. Tam na takiej dużej sali ćwiczyli głównie starsi ludzie, po wypadkach, wylewach. I tak wtedy myślałem, że staruszkowie, a niektórzy byli w naprawdę podeszłym wieku, dają radę, a ja młody człowiek miałbym się poddać? Na początku to był ból nie z tej ziemi. Nie potrafiłem nawet zrobić przysiadu. Ale ci ludzie obok dawali mi przykład. Skoro im się udaje, to ja też tak muszę. Zdarzało mi się wyć, później jednak zaciskałem zęby, bo oni nie krzyczeli.

O czym Pan wtedy myślał?

Że muszę ten ból pokonać. Zacisnąć zęby i jak najszybciej wrócić do normalnego życia. Patrzyłem na moją żonę, jak ona ledwo jest w stanie uwinąć z tym wszystkim - dom, trójka dzieci i jeszcze chory, nieszczęsny mąż, którego trzeba zawieźć na rehabilitację. Jeździliśmy codziennie przez ponad pół roku w korkach na drugi koniec Warszawy. Ja nie byłem wtedy w stanie siedzieć, więc leżałem zwinięty na tej małej, tylnej kanapce. Trzymałem ręce i nogi w górze, żeby krew dobrze spływała w kierunku serca. I mimo, że miałem momenty zwątpienia, żona nigdy się nie poddała. Nie pokazała po sobie, że jest bez sił. Wiedziała, że nie może. Bo, kiedy ona się złamie, ja w jej twarzy zobaczę poparzonego, obolałego i zrezygnowanego siebie. To działa jak lustro.

Co dawało Panu siłę?

Rodzina. To jest właśnie taka chwila, która pokazuje człowiekowi jak ważna jest rodzina. Ale ta prawdziwa, najbliższa. Nie „rodzina” z Facebooka, czy przypadkowi znajomi. Oni nie przyjdą, nie nakarmią. A ja wtedy nie byłem w stanie nic jeść, karmiono mnie przez rurkę. Czasami robiły to siostry, czasami żona, a później czasami też koledzy z pracy. Przychodziły też koleżanki choć było to dla mnie trudne bo po prostu wstydzilem się swojego wyglądu i tej bezradności. Byłem szalenie skrepowany. Jeszcze gorzej było, gdy siostry mnie rozbierały i wiozły do mycia. Dorosły facet, bezbronny, na golasa. To olbrzymie odarcie z godności. No, ale też jakaś nauczka na życie.

A gdyby do tego pożaru nie doszło?

Pewnie nie zrobiłbym programu „Niepokonani”. Pewnie nie napisałbym tej książki. I nie powiedziałbym tak wiele o sobie, przez co nie byłbym tak postrzegany jak jestem teraz, jak Pan sam powiedział „z krwi i kości” a nie tylko goguś z TV. ☺ Ale pożar wybuchł i coś, co było złem, przełożyło się na dobro. Absolutnie. Ja sam dla siebie stałem się bardziej pewny siebie. Wiem gdzie idę. Nie tracę czasu na głupoty. Ale też Stałem się bardziej doceniany przez innych, widoczny, wyraźny. A ważne że jestem sam dla siebie bogatszy. Wiem już, że nie poddam się w takiej sytuacji. Że rzucę się, żeby ratować innych. Czy podejmę inne duże wyzwanie czy ryzyko.

Wszystko jest po coś.

Tak sobie myślę, że skoro ta tragedia spotkała mnie, a nie umownego tokarza, czy tramwajarza, i skoro mam możliwości mówienia o tym, to powinienem tę historię komuś opowiedzieć. Może to jest właśnie po to. Żebym ja jako narzędzie posłużył innym w pokazywaniu im istniejącego dobra?

Może też po to, by pokazać Polakom, że mężczyzna nie musi wstydzić się łez. Chociaż po kilku programach telewizyjnych, w których nie krył Pan wzruszenia, internauci pisali, że jest Pan

„mazgajem”.

Wiem że nie powinno się przejmować tymi pomysłami wylewanymi na innych w Internecie. (na marginesie - na wp.pl czytałem że ja to piszę żeby żerując na innych dorobić się kasy!!! A pisanie książek dziś to są grosze...))) Ale to było bardzo niesprawiedliwe. Myślę, że nazwali mnie tak tylko umowni gówniarze albo ludzie o wrażliwości pompki do roweru. . Dla mnie łzy są dowodem pewnej głębi, którą się ma. Dale mnie prawdziwy facet nie ucieka z domu od dzieci i żony czy obowiązków i wyjeżdża na weekend by polować, czy uprawiać sporty ekstremalne. On potrafi znaleźć czas dla rodziny w codziennych obowiązkach. Zając się dziećmi, pomóc w domu i zrobić żonie jakąś przyjemność. Dużo obserwuję i np. jeżdżąc komunikacją miejską i zauważam, że dziś wielu jest takich „Piotrusiów panów”, facetów po 40-ce ubranych jak 18-latkowie, oglądających się za młodymi dziewczynami. Wyglądają śmiesznie. A to tylko wierzchołek problemu o którym mówię. Nie znaczy to jednak, że tych dobrych mężów już nie ma. Oni się ukrywają, bo w dzisiejszej popkulturze nikt nie uważa ich za bohaterów. A przecież są bardziej wartościowi, niż te mentalne „krótkie spodenki”.

Nawet, gdy płaczą?

Łzy wzruszenia jeszcze nikomu nie odebrały męskości. Ale zachowajmy umiar. Nie mówię przecież, że faceti mają wpadać w histerię z byle powodu. To nigdy.
